



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Krolestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

ZAPOMNIJ! PAMIĘTAJ!

Zapomnij o tem, co w życia kolei

Było ci stratą wiary i nadziei,

Co ci się stało miłości zawodem,

Co niewdzięcznością serce twe rozdarło,

Co było ducha łaknieniem i głodem,

Co z rozczarowań i żalu umarło ...

Ale pamiętaj, co cię pokrzepiło,

Gdyś się z upadku musiał dźwignąć siłą,

Gdyś szedł pod góry życia skałę naga,

Gdyś wysokości mierzył okiem śmiałem:

Pamiętaj o tem, co było odwaga,

Pamiętaj o tem, co było zapaleń!—

Pamiętaj o tem i zostaw za sobą,

Wszystko, co boleść samolubną budzi,

Co w sercu tęsknot czyni się chorobą,

Co-by się stało nienawiścią ludzi...

Zostaw za sobą gorycze i żale,

Co są wśród drogi ciężarem człowieka.

Lata, co płyną, są to życia fale;

U końca wieczność z przystanią swą czeka —

M. Ilnicka.

NOWOŻYTNA SAGA.

Maj na świecie i mamy przed sobą obrazek iście ze złotego wieku! Piękność, miłość, poezya wychylają się do nas z niego i dramat to jest bez żadnego czarnego charakteru, bo wszystkie role szlachetne są i heroiczne. Nie krytykujmy przecież na zasadzie estetycznego prawa o światłach i cieniach, gdyż twórcą jest tu Bóg, aktorami żywi ludzie i mamy przed sobą rzeczywistość piękną jak marzenie poety, a która rozegrała się niedawno na scenie życia. Gazety doniosły w tych czasach, że sejm szwedzki uchwalił jednoznacznie głosów przywrócenie pensyi królewicza księciu Oskarowi Karolowi, drugiemu z kolei wieku synowi króla, 26.000 koron, które utracił przez ożenienie się z panną szlachecką tylko stanu, przez co on sam stawał się osobą prywatną, nie mającą zatem prawa do apanażów królewskiego księcia krwi — i to jest szkic dramatu. Finał, jak widzimy, wspaniały. Naród nie chce karać księcia za to, że uczucie serca podniosło się u niego nad ambicją, pragnienie dostojeństwa i miejsca na stopniach tronu. On się tego zrzekł; przecież lud szwedzki mu to zwraca, i gdyby chór mógł tu wystąpić, jak u Starożytnych, miałby do wyśpiewania wspaniały hymn o sercu człowieka.

Ale czytelnikowi należy się ta historia w szczegółach, wartych poznania, bo jest jak romans, któryby napisał poeta: tkliwy, czysty, a w którym pieśń, będąca głosem smutnego serca, zwracając się o pomoc do Boga, rozstrzygnęła losy kochanków i przechyliła na ich stronę szalę ważącą szczęście. Ebba Munk, sierota niebogata i nie pochodząca ze sfer najwyższej arystokracji, należała do dworu królowej, a piękna, uczuć szlachetnych i słodkiego, łagodnego charakteru, sta-

ła się wkrótce bardzo miłą dostojnej pani i przypuszczoną blisko do jej osoby i towarzystwa. Królewicz Oskar Karol August, książę Gottlandyi (urodzony 1859 r.), pierwszy po następcy tronu książę krwi, widywał ją często na pokojach matki — widywał i pokochał tak, że szczęście zawisło już na tem, aby to była towarzyszką jego życia: żona-kochanka, z którą mógłby go rozłączyć tylko grób.

Miłość taka istnieje jeszcze na świecie, jakkolwiek wiek nasz pomawianym jest o realizm i pozytywizm chłodny. W naturze ludzkiej ona leży i nic też wykorzenie jej nie może. Dana na pociechę ludzkości wśród walk, trudów, nędz ciężkiego istnienia, nie zginie nigdy, bo wraz z nią musiałaby umrzeć poezya żywego życia i ludziom pozostałby ciężki żal po niej: bytowanie smutne i pojępne bez tego jasnego i ciepłego promienia, który rozświeca domową zagrodę człowieka i daje mu pieć przy rodzinnem jego ognisku czarę rozkoszy, może najśłodszej, jakiej zakosztować może. Nie mylił się stary nasz poeta, mówiąc: „Ktokolwiek jest czuć zdolnym pocziwie kochanie, albo już jest cnotliwym, albo się nim stanie...” i snadź książę Oskar cnotliwym tak był, bo pokochał silnie, wiernie, ale względy wysokiego znaczenia w prawach, rządzących monarchami, stanęły tu na przeszkodzie, spotęgowane jeszcze okolicznością, bardzo w zakresie praw tych ważną. Starszy królewicz i następca tronu, Oskar Gustaw Adolf, książę Wermelandyi, ożeniony od lat kilku z księżniczką badeńską, gdyby nie zostawił dzieci na księcia Oskara Karola i linia jego przesyłaby przypuszczalnie dziedzictwo korony szwedzkiej. Król położył też przeciwko związkowi młodych serc, *veto* stanowcze, — syna wysłał w daleką podróż naokoło świata, a biedna dziewczyna, która była przyczyną tego zaburzenia w rodzinie królewskiej, otrzymała cichy rozkaz podania się do dymisji z zajmowanego przy królowej urzędu damy honorowej.

Czy serce sieroty nie pękało? Jest przecież na świecie niemało serc takich — splekanych... serc z rysą głęboką, której nie już nie złutuje, mogło więc przybyć do ich liczby jedno więcej, ale królowa matka nie podzielała takiej teorii o życiu. Rozdział z lubą jej dziewczyną sprawiał jej przykrość; przywiązała się do niej i ona, przytem wiedziała, że syn jej cierpi i cierpiała również, ale kobieta z sercem kochającym prawdziwie nie daje się łatwo zwalczyć przeciwnościom. Królowa nie opuściła też biedaczki, poświęcone jej wględom dalekiej polityki, i uczyniła z niej jakoby przyboczną jałmużniczkę swoją: zleciła jej rozdawnictwo wsparć prywatnych — departament osobistej swej dobroczynności i tym sposobem sierota miała zawsze otwarte dla siebie drzwi królewskich komnat. Oskar Karol po powrocie z podróży mógł ją tam niekiedy widywać i ona, której serce kochało też, choć w milczeniu i tajemnicy, mogła go niekiedy ujrzyć — głos jego usłyszeć, przemówić do niego.

Przecież nie było tego dość dla szczęścia, a mogło być za wiele dla serc, które musiały pozostać rozdzielonemi. Odżywiało to uczucie skazane na zatlumienie, ale królowa miała swój plan. Żał jej było sieroty, z którą los postępował okrutnie, bała się również dla syna tej pustki serca, następującej nierzadko po zabiciu siłą uczucia, które było miłością prawdziwą, a po którym rozpościera się wtedy chłód i obojętność, będąca cierpieniem większem nawet, niż gdyby krwawiła się tam rana najgłębsza. Widziała co się dzieje nieraz z ludźmi o zabitej podobnie zdolności kochania — z ludźmi, którzy przeżyli amputację serca, i postanowiła niedopuszczyć tego u syna. Zjednać króla dla sieroty, wzruszyć go i rozczulić, stało się oddtąd celem jej skrytych zabiegów. Na zebaniu jej prywatnem w dzień Bożego Narodzenia (zeszłego roku) znajdowała się i Ebba. Posiada ona głos niepospolicie piękny, dźwięczny, i rozciągał kontralt, zdolny oddać całą skalę uczuć tkliwych i głębokich; królowa zażądała od niej, aby śpiewała. W wielkie święto, które w Szwecyi, tak jak w całej Skandynawii, obchodzi się bardzo uroczystie, bardzo surowo, mógł to być jedynie śpiew religijny, a że król Oskar, który jest poetą, napisał kilka pięknych hymnów, zbliżonych charakterem do psalmów Dawida, królowa wybrała jeden z nich do wykonania dla sieroty — pieśń, która zawiera zwrotek: — „O człowieku! jeżeli w sercu twoim goreje płomień wielkiej, silnej miłości, przez którą cierpisz, idź do stóp krzyża i błagaj tam, aby pocieszenie danem ci było.“ Biedna dziewczyna, śpiewając to, musiała się uczyć wzruszoną — królowa przewidywała to i tak się też stało. Głos jej, rozlegający się wśród komnat królewskich, drżał boleścią i król usłyszał go w pokojach swoich. Kto wie, co on sam czuł, tworząc słowa, które go teraz dochodziły, przeniknione tem cierpieniem, dla którego po ulgę i łaskę kazał iść do stóp Chrystusowych i nie mógł też oprzeć się wzruszeniu. Wyszedł z apartamentów swoich, zaszedł na próg salonu królowej i stanąwszy tam, słuchał.

Gdy śpiewaczka, walcząca ze wzruszeniem, skończyła, on, wzięwszy syna za rękę poprowadził go do niej i dłonie ich połączył.

Były to zaręczyny młodej pary, tak romantyczne, jakich może nie widziano dotąd nigdy pod sklepieniem komnat królewskich; ale pomiędzy kochankami a szczęściem stała jedna jeszcze sprawa, którą teraz mógł już załatwić jedynie sam książę Oskar i którą załatwił też niebawem: sprawa sukcesji tronu, na którym Ebba Munk nigdy zasiąść nie mogła. Z prawem następstwa na tron Szwecyi, które przelewał aktem, sporządzonym przez kanclerza państwa, na starszego z dwóch młodszych braci swoich, książę zrzekał się zarazem i apanażów królewskiego syna. Stawał się człowiekiem prywatnym, poddanym państwa szwedzkiego, i d. 15 Marca bieżącego roku wziął ślub już tylko jako książę Oskar Bernadotte.

Wzruszającym szczegółem delikatności uczucia w królowej matce jest podróż, w którą wybrała się zaraz po zaręczynach, zabierając ze sobą narzeczoną; a że i syn towarzyszył matce, była to rozkoszna wycieczka we troje, w czasie której

etykieta dworska już nie obowiązywała, i młoda para używać mogła tej wiosny swego szczęścia wesoło, swobodnie. Królowa sprawiła sierocie bogatą wyprawę, jakiej potrzebowała synowa królewska, zakupując ją przeważnie w Paryżu i cała ta historia przedstawia się, jak romantyczna saga z czasów rycerskich, którąby jaki złotowłosy minnesaenger mógł śpiewać przy akkompaniamencie harfy: — Był królewicz i dziewczica — był królewicz i sierota, ona miała jasne lica, lecz nie miała dóbr, ni złota. Aż wysłali pieśń za posła, by im króla ubłagała, i gotówka srebrnobiała listek szczęścia im przyniosła...

Królowa matka przedstawia w tym obrazie małżeństwa syna postać prawdziwie uczuciowej, tkliwej, dobrej kobiecości, złączonej z umysłem szlachetnym, podniesionym nad ciasny krąg etykiety i formułek, krępujących życie, które uczuwa, że mu wśród nich duszno i ciasno. Bardzo inteligentna i wykształcona, prócz włoskiego, mówi i pisze wszystkimi temi językami, które wchodzą w skład literatury europejskiej i czytuje w nich wszystkich dzienniki, z których robi często wyciągi dla króla. Urodzona w 1836 r. poszła za mąż w 1856 i przez cały ciąg swego panowania zaznaczała się zawsze rodzinnymi i obywatelskimi cnotami, których nie skaziła nigdy żadna lekkomyślność, nie przyemił błąd najmniejszy, i naród widział w niej zawsze kobietę uczciwą, czystych, zacnych obyczajów. Etykieta królewska zachowuje się na dworze szwedzkim tylko na chwile uroczystości urzędowych, inaczej dwór ten przedstawia się jako dom zamożnych i wykształconych ludzi, których gusta są szlachetne i którzy lubią towarzystwo podobnych im, rozumnych i uczciwych osobistości. Wynika to, naturalnie, z tego, że król jest poetą i lubi zajęcia literackie, a żona odpowiada mu upodobaniami, do których usiłowała się stosować od pierwszych dni małżeństwa, zawarte go też na podstawie skłonności serc.

Do wyższych zasług królowej, które zapisze historia jej kraju, zalicza Szwecya jej prawdziwie królewską hojność na korzyść instytucji dobroczynnych i użytku publicznego. Tu nie skąpi nigdy grosza, a czynić to może z powodu, że na innem miejscu rozrzutną nie jest, — że się nie otacza zbytkiem i pompą wyniosłą, a pieniądze w ten sposób zaoszczędzone, znajdzie się potem zawsze na inne: szlachetniejsze, wyższe potrzeby. Z inicjatywy królowej jej osobistym kosztem, z prywatnej skatuli czerpanym, wzniesiony został w Sztokholmie instytut, kształcący dozorczyńnie chorych, które na wzór katolickich Sióstr Miłosierdzia związały się w towarzystwo z pewną cechą religijną.

Zesummowawszy to razem powiedzieć można, że ta królowa jest uczuciową, dobroczynną, religijnie podniesioną i inteligentną kobietą — dobrą obywatelką i matką rodziny, dobrą żoną dla męża poety, co nie znaczy mało. Dowodzi to, że poezję odczuwa, że ma ją w duszy, bo ją rozumieć potrafi i nie przeciwstawia się jej wymaganiom płochego, rozrzuconego życia zabawy, strojnictwa i nieco lekkomyślnej. Tylko szlachetna i wyższa kobieta, zdolna być dobrą żoną wyższego człowieka.

Stanisław jest, po którym tęsknił, a który był właśnie w wieku tego Stanisława, gdy się ze sobą rozstawiali, i zaczął go też mimowoli nazywać Stasiem, a wyraz sam napełniał mu serce uczuciem tkliwym i słodkim, gdy go wymawiał. I było mu też ze Stanisławem tak niemal dobrze, jak gdyby to był rzeczywiście syn rodzinny, bo rękę młodzieńca znajdował zawsze przy sobie w chwili, gdy mu się oprzeć na niej było potrzeba. Przecież obecnie było to już coś więcej, niżeli wyręczenie z trudów, które starości jego ciężko dźwigać było: teraz stał on już rzeczywiście jakoby syn, który honoru ojca pilnuje i cześć jego od zniewagi broniąc, pierś własną nadstawia. Gdy p. Roman opuścił go, niemal z pianą wściekłości na ustach, on obie ręce do Stanisława wyciągnął. — Dziękuję ci... — zawołał, silnie wzruszony — dziękuję ci... Masz serce szlachetne...

I głowę młodzieńca do piersi sobie przycisnął. A że nie chciał, aby Wanda wiedziała, o przykrościach, jakie na niego jej pobyt tu ścigał; że nie chciał również, aby p. Róża zaniepokojona się czuła: prawdy im więc o postępowaniu p. Romana nie powiedział, ale wkrótce znalazł sobie okazję, aby Stanisława na bok wziąć. — Trzeba nam teraz pomyśleć, jak tu tę nieszczęśliwą sprawę załatwić. — rzekł. — Oddałbym resztkę tego nieużytecznego życia, aby, to, co się stało, nie było miało miejsca, ale gdy się to już cofnąć nie da, radzić sobie trzeba, jak w takich razach należy. Nie myliłeś się, że są w tych stronach ludzie uczciwi, poczucie honoru w piersiach mający, którzyby nie odmówili ci pomocy swojej w tej sprawie delikatnej, ale moim obowiązkiem jest zaprezentować ci im i powiedzieć, coś za jeden jest. To, co o tobie wiem, starczy mi, abym im rzekł: uczciwy i godny to chłopak...

— Są na sumieniu mojem smutne grzechy przeszłości — odparł Stanisław z goryczą — ale niema tam nic takiego, co honor człowieka wobec ludzi plami. Niema tam ani podłości, ani hańby... Tylko własnego życia zruinowanie, tylko własnego szczęścia zabicie...

— Nie mów tak, chłopcze. Młodość to wiosna... Jeszcze ci się wszystko odrodzić może... wszystko może się powetować.

Położył mu potem łagodnie rękę na ramieniu. — Dość mi w te niebieskie oczy twe spojrzeć, abym widział, że nie cięża na tobie nic, co ludzi wstydem piętnuje. Za śmiało, za prosto patrzą w oblicza bliźnich swoich, aby tak być miało, a przytem legitymuje cię dostatecznie ten twój postępek dzisiejszy. Szlachetny tylko staje po stronie słabych — szlachetny tylko bierze ich w obronę przeciw uciskowi i zuchwałości mocniejszych, i mogę to powiedzieć tym, którym należy to wiedzieć, żeś ty takim jest właśnie.

— Pojedziemy dziś, kochanku, do mego starego przyjaciela, który dość już odlegle, bo o dwie mile stąd mieszka, w Kołobielu. Kolegowaliśmy niegdyś ze sobą w konwikcie księży Pijarów w Wilnie, i zawsześmy sobie przyjaźni rzetelnie dotrzymywali, ale teraz widzujemy się rzadko, bośmy się postarzeliby obydwaj. On jakoś lepiej się trzymać zdaje, bo personat jest i choć się teraz łaską podpira, to tylko stary postrzał, który niegdyś w nogę dostał, zdaje się pod Ostrołęką, teraz się tam odzywa. Dawniej ani o tem pamiętał, na polowaniu nieraz mile drogi jak nie zrobił, a nawet tańca lubownikiem był i mazura co się zowie prowadził, ale na starość to tak... Przypominają się wszystkie kule, które w życiu były.

O własnym losie pomyślał i westchnął, ale zaraz do przedmiotu wrócił. — Otóż do tego mego przyjaciela młodości, do Kołobiela zawieś cię dziś chęć, Stasiu. Człowiek zacny i wielkiego szacunku między ludźmi używający, a rodzina bardzo stara, z książąt: z Mściśławiczów się wywodząca i w podaniach rodzinnych to się utrzymuje, że powiat Borysowski kiedyś ich udziałem był, a w Łohojsku knaziowska stolicą swą mieli. Ślady bardzo starych okopów i obronnego niegdyś zamku dotąd widoczne w tej miejscinie; są w lasach okolicznych znaleźć też można poszlaki różne, jakoby osad przedwiekowych, i lud to nawet w gadkach swoich przechowuje, iż ta

NA STARYM GRUNCIE.

POWIEŚĆ

Przez

M. Febroniusza.

(Dalszy ciąg).

P. Michał, który był delikatnością wieloną, ani jednym słowem nie zaczął Stanisława o jego przeszłość. — Z oczu mu patrzy, że uczciwy... rzekł niegdyś do żony i to mu starczyło. Polubił go też odrazu, a powoli przywiązał się nawet do niego i czasem mu się zdawało, że to tamten

puszcza kiedyś uprawną była i ludne siola wśród niej się wznosiły—może to wszystko być. Przecież to już pewną rzeczą jest, iż mój przyjaciel, p. Kazimierz Borysowicz to człowiek ze wszech miar zaćny: uczciwy i rozumny. Do niego też dziś pojedziemy. Starszy syn, Bolesław, już od lat kilku żonaty, jest jakoby rówieśnik mego Stasia, nie o cały rok od niego starszy, a młodszy, Jan, może tobie, kochanku, wiekiem odpowiada. Chcę cię z nim zapoznać i sekundanta ci w nim znaleźć.

— Oni, kochanku, takiej opinii u współobywateli tego naszego kątka używają, że gdyby ci Jan w tej sprawie służył, już-by p. Roman, chcąc nie chcąc, w pole wyjść ci musiał i niktby potem językiem cię nie drasnął. Tam tedy pojedziemy. Powiem p. Kazimierzowi:—Oto, przyjacielu, widzisz tu młodzieńca godnego, za którego ręczę, że wart jest z kimś lepszym, niżeli p. Roman, na równi stać. Starości mojej pomocą się uczynił, i niech mu za to Bóg błogosławi.

Stanisław, wzruszony, ręki starca uściskiem poszukał, a ten, poklepawszy go po ojcowski i ojcowskim spojrzeniem, jakoby pogłaskawszy przychylnie, do słowa zaraz wrócił, bo potrzeba było, aby Stanisław znał ludzi, do których zbliżyć się miał. — Jan, kochanku, o którym pomyślałem, aby przy tobie w tej sprawie stał, sensat trochę jest, jak po większej części młodzież dzisiejsza; ale to nie przeszkadza, aby serce w piersi miał i powiem ci o nim coś, co charakter jego pokazuje. Borysowiczowie już od kilku pokoleń tak się rządzą, aby Dobra Kołobielskie nie podzielone jednemu z synów się dostawały, a to, z racji, aby rodzina, która już z dawnych wielkich majątności wyszła, na chudopachołków nie skapiała. Słabość to jest, duma ukryta, z owej księżęcej przeszłości źródło wywodząca, ale jeszcze niehańbiąca, a ja nawet w sekrecie ci się przyznam, iż jej bardzo nie ganię. Stare gniazda potrzebne nam są... potrzebne są nieraz, i kto się przy nich utrzymać pragnie z myślą, aby to było *pro publico bono*, jeszcze nie grzeszy i lepiej czyni, niż ów, co fortunę ojcowską z dymem przepuści. Otóż z tego powodu zawsze jeden z Borysowiczów, głównie starszy, bogato się żenił, aby braci spłacić mógł, i na ojcowiznie niepodzielnie się utrzymywał; ale powiem ci, kochanku, że prawdą jest przysłowie: — Śmierć i żona od Boga przeznaczona. Bolesław nieborak zakochał się też z woli tego przeznaczenia po uszy w dziewczynie ubogiej, córce szlachcica, które na niedużym przysiołku, właśnie pod samymi lasami kołobielskimi, siedział. Chłopak niby polował, ale raz po raz dla tej sarenki do dworku pod lasem zajeżdżał, aż ktoś dał ojcu o tem wiadomość: więc go chciał co najprędzej niby dla poznania krewnych w Koronie, z domu wyprowadzić. Lecz kto kocha prawdziwie, nie łatwo da sobie ukochanie swoje wydrzeć, i młodzieniec powiedział sobie, że człowiek raz tylko na ziemi żyje, raz tylko szczęścia zażyć może, i do ojca śmiało wystąpił, że on się praw do kołobielskiego klucza na korzyść Jana zrzeka, a sam pójdzie na jaką dzierżawę, na jaką wieszczynę małeńką, byle mu ojciec małżeństwa z kochaną dziewczyną nie bronił. Już ojciec na to przystał, już się wszystko do tego szykowało, gdy młodszy brat z Wilna do domu wrócił i ani chciał o takim układzie słyszeć. Bolesław od kilku już lat na Kołobieli, jak na przyszłej własności swojej obok starych rodziców gospodaruje, Jan zaś, trochę książkami się bawiąc, pomaga mu jak zwyczajnie młodszy starszemu, a ludzie utrzymują, że się żenić nie myśli, bo i on za posagiem uganiać się nie chce, a po śmierci rodziców takich działów, jak gdzieindziej, u nich nie będzie. Czy w tem jest duma kniaziowskiego potomka, czy uszanowanie dla rozporządzeń rodzinnych—dość, że mało takich, jak on, i każdy mówi, że mieszka w nim tęga dusza...

— Jego też na sekundanta dla ciebie, Stasiu, chcę, bo gdy on przy tobie stanie, wszyscy po twojej stronie będą.

Pocziwy nasz Filemon nie przywykł nic przed Baucydą swoją ukrywać, więc przed wyjazdem przyznał się p. Róży, iż po załatwieniu owego interessu, o którym się przy obiedzie

Wandzie mówił, do Kołobiela wstąpią. — To już blisko, blisko będzie — mówił — a mnie do starego druha nieraz tęsknota bierze. Rozwesele się trochę, coś *de publicis* usłyszysz i tego naszego Stasia ludzom przedstawię. Potrzebne mu to może być... tak, zawsze to potrzebnem może być...

P. Róża nie nagliła go, aby jej prawdę odkrył. Wiek uczy cicho czekać, tak na cierpienie, jak na radość, bo krwi nie pali już ta gorączka niepokoju, jakiej młodość ulega. — Rezygnacja to świadomość tego, że złe i dobre kończy się zarówno, a im bliżej tego, co końcem owym jest, tem obawa cierpienia mniejsza. Ale Wanda, która jeszcze do tej mądrości smutnej nie doszła, niespokojnie za odjeżdżającymi patrzyła. — Matko, wołała — czy tylko złym ludziom tu dobrze — tym, którzy za celem swoim, choćby po sercach bliźnich, idą, i depeczą, i gruchoczą...

— Nie... bo ich nikt nie kocha. Oni to czują, oni to wiedzą i cierpią wtedy nawet, gdy tryumfują. Świat stworzony jest do szczęścia przez miłość i kto przeciw miłości grzeszy, zakłóca nie tylko harmonią szczęścia innych — we własne serce burzę i rozstrój wnosi.

W tej chwili właśnie p. Roman niespokojnie, niecierpliwie wszedł i w dół obszernej komnaty kalinowskiego dworu tam i napowrót chodził. — Co mu teraz począć wypadało? Czyż on dziś rano mógł być przypuścić, że w południe będzie się czuł zwyciężonym przez tego niedołężnego starca w spłowiłym, dymkowym surducie, którego ekonom wyzwie gol...

Pałił cygaro za cygarem, a niedopałki ciskał w kąt. Gdyby się było zapaliło w koło niego, nie byłby się gniewał, obraz zniszczenia byłby mu przynosił zadowolenie. Pragnął gruchotać, łamać w koło siebie i musiał się trzymać na wodzy, aby tego nie czynić.

Jestto zwykły objaw u despotycznych egoistów; gdy trafiają na opór przeciw woli swojej, uczuwają ślepą żądzę niszczenia, i on, niemożący dosięgnąć Stanisława, aby go o ziemię powalić, nogami zdeptać, był by z rozkoszą dokonywał tego na wszystkim, co podpadało mu pod oczy. Bić się z nim i zabić... ranić ciężko, przez twarz szramą naznaczyć, uszy obciąć... to były marzenia, cisnące mu się bezładnie do mózgu z falą krwi gorącej, która go zalewała.

Noc, która przyszła po dniu takim, nie była lepszą. Nie przyniosła spokoju i pocieszenia, bo dawała sny dziwne i okrutne, jak myśli, które wśród dnia szalały. A była księżycową, zalewała świat ziemski luną srebrzystą; pola, lasy, ogrody, skąpane w niej, przedstawiały niby jakieś czarowne widzenie raju, lecz promień światła, który się przekradł zdradliwie przez źle zasunięte firanki sypialnego pokoju, drażnił kalinowskiego pana i sprowadzał złe, krwawe marzenia. Bił się w nich ciągle ze Stanisławem, przebiegał go, powalał o ziemię, następował nogą na piersi. Uśmiercony tak okrutnie, cudownie odżywał przeciw, ale to nic... on się znów na niego rzucał i mordował...

Rano wstał tak blady i zmęczony, jak gdyby senny senny były rzeczywistością. Ale był to człowiek mocny, silnie zbudowany i nie zwaliło go to z nóg, tylko dało gorączkę, i gorączkowo też czekał wypadków. Według praw pojedynkowych wyzwany nie powinien wyjeżdżać z domu, aby nie zminąć się z sekundantami strony przeciwnej, którzy powinni przybyć i stawiając mu warunki pojedynku, usłyszeć jego na nie odpowiedź. Wtedy on oznaczy termin, i miejsce, w którym przysłani z jego strony sekundanci zjadą się z tamtymi, aby obrać czas, miejsce spotkania i broń. — Lecz kogo ten ekonom rudawicki przysłać mu może? Hardo podnosił głowę na samą myśl zetknięcia się z tymi ludźmi. — Kpów, pisarków jakichś nie przyjmę... myślał, przecież nie było to chęcią uniknienia rozprawy; tylko rogata pycha panka nie dała się pokonać.

O godzinie jedenastej zaturkotało na dziedzińcu i on na poły podniósł się z kanapki, na której z książką w ręku dla kontenansu zasiadł. Miał na sobie wytworny ubiór letni, a kilka obszernych komnat stało rzędem otwartych. On siedział w drugiej z kolei; wysokie szklane drzwi

były uchylone na ogród, ale światło przysłaniała spuszczone markiza. Dwóch lokaj, którym kazał wdziać paradną liberyą, dostało rozkaz przyjęcia gości w sieni, a jeden z nich, starszy wiekiem, siwy już i rzezawiejszy stary sługa rodziny, nieco w rodzaju *major domus*, miał ich prowadzić do pana. — Jeżeli nieznajomi, anon-sować... rzucił rozkazując p. Roman staremu Benedyktowi, który głową kiwnął. — Wiem panie — rzekł — wedle godności traktować...

Od dziecka był sługą dworskim i przejął wszystkie złe i dobre uczucia swoich panów. Kalinowscy zdawali mu się być, jeżeli nie równymi królom i książętom, to przynajmniej blizkimi i jakgdyby pokumanymi. — Wiem, panie... powtórzył i teraz oto otworzył szeroko drzwi pierwszego pokoju przed dwoma panami, z których jeden był już mężczyzną w średnim wieku, drugi jeszcze mógł się nazywać młodzieńcem. — Proszę jaśnie panów... rzekł.

Nie anonsował, byli to zatem znajomi...

Tak, byli to dwaj młodzi panowie z Kołobiela, dwaj bracia Borysowicze: Bolesław i Jan.

P. Roman wstał na ich przyjęcie, nie wiedząc jeszcze kto są ci, bez anonsovania przed jego oblicze przypuszczeni. — Ktoś ze szlachty okolicznej... pomyślał, lekko ściągając brew. Gdy zobaczył Borysowiczów, zmarszczył się silniej. Trzymali się form i byli ubrani jak na etykietałną wizytę. Podali sobie z gospodarzem ręce, ale nie siedli. — Przybywamy tu w niemiłej sprawie — zaczął starszy. — P. Stanisław Starowiejski...

— Wyzywa mnie... a panowie sekundujecie mu... przerwał p. Roman ostrym głosem. Zkąd jest on znajomy panom?

— P. Michał Rudawicki, stary, doświadczony przyjaciel naszego ojca, przywiózł go wczoraj do naszego domu i przedstawił jako człowieka, którego szanuje i kocha niemal uczuciem ojcowskim — odparł z powagą starszy Borysowicz. — To, cośmy wczoraj dowiedzieć się mogli o tym młodzieńcu, zjednało mu z naszej strony szacunek...

— Awanturnik... przerwał p. Roman, niezdolny się powstrzymać.

— Nie, panie — odparł Bolesław Borysowicz spokojnie. — Jest wielu takich jak on, którzy majątek lekkomyślnie stracą, ale nie wszyscy umiają się tak szlachetnie podnieść z upadku. P. Stanisław Starowiejski już poniekąd winy swoje zmazał tem, że potrafił za nie uczciwie i odważnie pokutować. Że się zapuścił w strony, gdzie znanym ludziom nie jest, dowodzi zapewne z jego strony coś jak fałszywego wstydu pracy, której się jął, ale ktoby w podobnym wypadku był bez winy takiej, niech na niego kamień cisnie... Ja nie wiem, załabym to mógł uczynić po ścisłym obrachunku z sumieniem mojem? Stare przesady tkwią jeszcze w nas wszystkich. Wypieramy się ich, ale niemniej są one skryte na dnie...

— O! pan dowodzisz, że ich nie masz wcale... tego, co przesądem nazywasz! — rzekł p. Roman chłodno i z pewną domieszką wyniosłości. — Zatem panowie przybywacie tu do mnie, jako wyzywający mnie w imieniu tego... tego... pana?

— Który jest ekonomem w Rudawicy, który nie włożył ani fraka, ani jasnych rękawiczek na na pierwszą do nas wizytę — zawołał żywo młodszy Borysowicz, milczący dotąd, i dający starszemu bratu głos pierwszy. — Otóż jam go od razu pokochał za to wszystko, a gdy ten biedny starzec, ten ojciec nieszczęśliwy — p. Michał Rudawicki, rzekł nam po przedstawieniu go z miłym, słodkim uśmiechem swoim. — Ten oto młodzian obrał się służyć u mnie starego za syna... jam mimowoli wyciągnął rękę do niego i ściskając ją, rzekłem. — A czy pan chcesz, abyśmy służyli sobie za druhów serdecznych?

— Jaka broń, miejsce i czas? — zawołał p. Roman, przerywając gwałtownie. Gdyby to nie Borysowicze stali teraz przed nim, ten hardy i namiętny człowiek byłby się okazał grubiańskim gburem, bo krew w nim kipiała. Ale hamować się usiłował.

Mimo postanowienia, jakie powziął, byłby niewątpliwie pojedynku odmówił, byłby powie-

dział z pogardą, że się bije tylko z równymi sobie; ale ci sekundanci Stanisława należeli do rzędu ludzi, których obrażać nie można było bezkarnie. — Bron... miejsce i czas? powtórzył też tylko wyniośle.

Przecież on-to był wyzwany, on miał tu prawo wyboru: wybrał pistolety, z metą o piętnaście kroków. Nietylko nocne marzenia, wśród których, w płataninie rozmaitych obrazów śnił, że stoi naprzeciw Stanisława z pistoletem w ręku i mierzy do niego, celuje w same oczy, widzi go padającym z roztrzaskaną czaszką—przyniło się bardzo dużo do wybrania tej broni, podsuwając mu odpowiedź, którą usta powtórzyły niemal mimowolnie. Myśl, że on miałby się ze swoim przeciwnikiem potykać, walczyć z nim o lepsze siły i zręczności—przed ciosami jego się zasłaniać, była mu wstrętną.—Pistolety... zawołał dumnie—pistolety.

Nie było racji do odmowy, więc rzecz przyjęto. On następnie oświadczył, że jutro, mniej więcej o tym czasie, świadkowie jego przybędą do Kołobieli. Miejsce było mu rzeczą obojętną i z góry przyjmował każde, które wybranem zostanie, ale terminu żądał możliwie najkrótszego. On stanąłby chętnie dziś, jutro — w każdej chwili...

Chciał udawać wyniosłą obojętność, ale namiętność — zła, zaciekle namiętność, zdradzała się w każdym wyrazie. Dla impozycji, aby okazać swoje lekceważenie dla tej sprawy, byłby chciał wybrać sobie na sekundantów jakich najprostszych, najuboższych szlachciców chodzących. Była nie daleko wieś, składająca się po połowie z Kościszów, po połowie z Żegotów i on z lekko szyderczym, pańskim uśmiechem coś o tem napomknął.—Co do świadków moich, jeszcze nie miał czasu pomyśleć o nich — rzekł. Nie dosyć znam okolice, a nie chciałbym jeździć daleko. Wybiorę się może do Żurawic...

— Bardzo dobrze pan pomyślałeś—odparł Jan poważnie. Między Kościszami znam kilku porządnych chłopaków. Polowałem raz z nimi i zuchy są. Żegotowie też muszą być im podobni. Wieś dobrze utrzymana, pola jak się należy uprawione, co już dobrze uprzedza. Zbieram się oddawna wejść z nimi w stosunki, ale jakoś mi zeszło... Najdogodniej panu będzie zwrócić się do nich—sąsiedzi najbliżsi.

Podano znów sobie ręce grzecznie, chłodno. P. Roman odprowadził gości do progu przedpoкою. — Antoni! okrycia panów... zawołał i zawrócił się w tył.

— Komedjanci... mruknął pogardliwie, ale czoło miał pochmurne i oczy posępne. Nienawisć do Stanisława rosła w nim z chwilą każdą.

(Dalszy ciąg nastąpi)

ŻYCIE I PRACA

przez

Samuela Smiles'a.

(Dalszy ciąg).

ROZDZIAŁ IV.

Wielcy starcy.

Nie zwie się starym ten, kogo myśl dzielna
Ster nad falami czasu silnie trzyma;
Płyną mu one tylko przed oczyma;
Jest w ideale młodość nieśmiertelna.

Dr. Oliver Holmes.

Wszystko przyjdzie do człowieka, który chce czekać.
Lord Beaconsfield (Bulwer).

Johnson powiedział u trumny Goldsmitha, że była to roślina, która późno zakwiliła i Smiles bierze ztąd pochop do porównania ludzi wyższej myśli i uczucia, z kwiatami różnej pory roku. Każda ludzka istota ma podobnie właściwości swoje późniejszego, lub wcześniejszego rozkwitu ducha i są pewne temperamenta umysłu, któ-

re nie strzelają wcześniej w kwiat a przeciwnie każą mu powoli kształtować się w pąkowiu. Wiele cudownych dzieci wyrasta na miernych ludzi, gdy naodwrot wiele umysłów potężnych dojrzewa zwolna. Najlepsi uczniowie, biorący w szkołach pierwsze nagrody, najczęściej nie zachodzą potem daleko, bo umysły to są bierne, bez silniejszej indywidualności, tylko pracowite i spokojne, które zapomocą pamięci przyjmują naukę posłusznie. Nie przeszkadza im w tem oryginalność ich własnej organizacji umysłowej; nie głębokie, zatrzymują zdobytą wiedzę na powierzchni, nie łamiąc się z nią mozolnie i nie wprowadzając jej w głąb rozumującej myśli. Wczesność umysłowa wtedy tylko jest prognozą wyższego obdarowania gdy, jak kwiat dziki, sama i własnowolnie wystrzela do słońca, tak, jak to było naprzykład u Michała Anioła i tych wszystkich wielkich ludzi i sztukmistrzów, o których Smiles pisał powyżej. Inni muszą czekać na tę siłę, która sprowadza objawienie noszonych w sobie skarbów. Życie potrafi o pewne głęboko ukryte w duszy ludzkiej struny i spowinęte tam władze: przymioty i wady, zle i dobre namiętności. Kepler, razem filozof i astronom, służył długo jako słabowity i powolny chłopiec, którym pomiatano, w gospodzie, gdzie podawał gościom kufle piwa. Descartes młodość przepełdził w wojsku; bił się, zdobywał oblegane miasta, zanim zdobył dla ludzkości wielkie prawdy naukowe, a niezmiernie łagodne, tkliwe dziecko, sierota, o słodkiej twarzyczce, którego białe czoło całował z uczuciem ojcowiskim ksiądz Prohart, zasłynęło na świecie, jako krwawy i okrutny reformator społeczny: Maxymilian Robespierre.

Z obudzonem uczuciem miłości często się budzą, zwłaszcza u chłopców, uśpione w głębi zdolności i poloty, ale dzieje się to najczęściej w poetach, a przynajmniej w organizacjach poetycznych i namiętnych. Poezja więcej uczuciowa i refleksyjna często późno się objawia, gdy doświadczenie życia i jego przejęcia, obserwacje nad światem i ludźmi, skłaniają do zadumy nad zagadnieniami istnienia. Wordsworth, poeta delikatnego natchnienia, uczuciowy i melancholijny, w czterdziestym czwartym roku stał się dopiero poetą prawdziwym w poemacie: „Wycieczka“ (Excursion). Gdy wszedł w siebie, wszedł i w człowieka; zbliżył się więcej do natury i pokochał ją, a ta późno rozbudzona struna uczucia drgała w nim do późnego wieku. Umarł, mając lat osiemdziesiąt, i pisał do końca.

Poprzednio już wykazywał Smiles, jak ludzie potężnego talentu, wczesne uczuwający natchnienie, zachowywali je przeciw długo i z tych tworzy on głównie długi szereg wielkich starców. Jest tam Haendel, który napisał w siedmdziesiątym czwartym roku genialną introdukcją do *Judy Machabeusza*: „Oto Syon legł martwy“ Rossiniego *Messe solennelle*, arcydzieło, które wielu muzyków stawia z pomiędzy jego utworów najwyższej dla szerokości stylu i głębokości wyrazu, było stworzone w siedmdziesiątym drugim roku. Michał Anioł zaczął malować *Sąd Ostateczny* w pięćdziesiątym ósmym, skończył go w sześćdziesiątym szóstym, a kopułę S-go Piotra wznosił w osiemdziesiątym siódmym roku. Tycjan, sławny już w dwudziestym, nie puszczał z rąk pędzla do dziewięćdziesiątego roku, a wielkie dzieło: *Ostatnia Wieczerza* było owocem starości, bo zaczął je, mając lat siedmdziesiąt, a skończył w siedmdziesiątym siódmym roku. Francia, szlachetny też i niepospolity artysta, niemłodo poczuł w piersiach odzywające się natchnienie, bo blisko czterdziestoletni ujął za pędzel, rozpłomieniony dla sztuki widokiem obrazu Perugina.

I poeci znajdują się w pośród wielkich starców, *Odyseję* i *Iliadę* wyśpiewał stary i ślepy Homer. Milton, poczynając od dwudziestego szóstego roku, pisał poezje, które mu dały między współziomkami miano poety; ale *Raj utracony*, który wchodzi już między wielkie dzieła literatury powszechnej, został skończonym, gdy jego twórca miał pięćdziesiąt siedm lat, a *Raj odzyskany* napisał w sześćdziesiątym trzecim roku i sam to zaznaczył, że był prawie zmrożonym przez wiek: „chilled by age“, gdy kreślił sielankę miłości

Ewy i Adama na łonie rajskiej natury pośród pierwszej wiosny ziemi ocknionej do życia. Walter Scott miał przeszło lat trzydzieści, gdy wydał pierwszy swój poemat *Minstrel*; cały cykl jego historycznych romansów i poematów, pełnych poezji i gorącej miłości szkockiej ojczyzny, pełnych najczystszej idealności, były to wszystko dzieła już dojrzałego wieku. Goethe dowodzi jeszcze dobitniej wzrostu siły twórczej i zasobów umysłu, zwiększonych z wiekiem. *Goetz von Berlichingen* był napisany w dwudziestym drugim roku, *Wilhelm Meister* część pierwszą w czterdziestym siódmym, a *Faust* ze swoją *Gretchen* uroczą, z baladą przy kołowrotku i sceną w więzieniu—w pięćdziesiątym dziewiątym. Drugą część „Fausta“, mieszczącą jeszcze wielkie piękności, pisał w osiemdziesiątym drugim roku.

Smiles przytacza jeszcze jako przykład wielkich starców: Cervantes'a i Voltaire'a. Cervantes pisał pierwszą część *Don Quichota* w pięćdziesiątym szóstym roku. Voltaire mając lat osiemdziesiąt napisał tragedję „Irena.“ W cztery lata później pojechał do Paryża, gdzie wystawiono ją sześć razy z rzędu na scenie *Teatru Francuskiego*, W trzy miesiące potem umarł.

Lista wielkich starców jest jeszcze bardzo długa i mieści kilkadziesiąt wielkości we wszelkiego rodzaju zawodach. Poussin w siedmdziesiątym roku stworzył swój znakomity obraz: „Potop;“ Cowper zaczął pisać w trzydziestym i pisał do sześćdziesiątego roku. Znajduje się tu Alexander Humboldt, Diderot, Pestalozzi, Balzac, Dumas (ojciec) Longfellow, o którym Carmen Silva (królowa rumuńska) napisała z powodu jego poematu *De senectute*, poświęconego w siedmdziesiątą rocznicę urodzin szkole, która wychodziła jego młodość: „La bonté des enfans est angélique, mais la bonté des vieillards est divine.“

Platon umarł z piórem w ręku, mając lat osiemdziesiąt jeden. Katon uczył się pogrecku mając przeszło lat sześćdziesiąt, a niektórzy twierdzą, że osiemdziesiąt, a to z chęci, aby mógł czytać greckie dramata w oryginale. Johnson nauczył się poholendersku w siedmdziesiątym drugim, Watt po-niemiecku w siedmdziesiątym siódmym i obaj nauczyli się tych języków wybornie, tak, że mogli władać niemi ustnie i piśmiennie. Goethe, który żył lat osiemdziesiąt trzy, w sześćdziesiątym czwartym roku począł studyować, i to głęboko, literatury wschodnie. Sławni astronomowie wydali też z pomiędzy siebie niejednego wielkiego starca. Był nim Kopernik, który prowadził obserwacje swoje już po rok siedmdziesiąty, Hevelius spędzał podobnie noce bezsenne w obserwatorium do lat siedmdziesiąciu sześciu. Newton napisał nową przedmowę do dzieła swego *Principia* w osiemdziesiątym trzecim roku, a jest to rzecz głęboka, pełna wielkich i śmiałych poglądów na naukę.

Galileusz ociemniały i bardzo już wiekowy, fizycznie bezsilny, dyktował swoje ostatnie—wielkie w dziejach nauki dzieło, a kobieta, więc jak sądzi się ogólnie, słabsza i mniej wytrzymała fizycznie: Mrs Somerville napisała i wydała znakomite w literaturze naukowej dzieło: *Molecular and Microscopical Science*, syta już lat, bo w osiemdziesiątym dziewiątym roku. Jej inne dzieło *The Mechanism of the Heavens* już też było pisane w starości.

Byli podobnie wielcy starcy między politykami, wodzami, podróżnikami i uczonymi we wszelkich gałęziach nauki, a w dziedzinie produkcji literackiej starców pomieścić jeszcze trzeba jako dowód niesłychanej świeżości wyobraźni *Nową Heliozę*, którą Rousseau pisał, mając lat przeszło sześćdziesiąt. Podobną historję uczuć miłosnych, namiętnych, gorących skreślił angielski romanopisarz Richardson: *Pamela*, już też licząc siódmy krzyżyk. Książka niezrównanej popularności, a pisana z taką siłą plastycznej imaginacji, że stała się czytaniem, budzącem najwyższe zajęcie młodości: *Robinson Crusoe* jest płodem autora także już starca. De Foe pisał ją zaczynając rok sześćdziesiąty.

— Jak zachować sobie do późnej starości siłę uczucia i wyobraźni, jedność umysłu, choć wiek

rzuci już na istnienie nasze cięń śmierci? Smiles stawia sobie to pytanie i odpowiada, że „życie czyste i uczciwie pędzone, wierne obowiązkom i cnocie, jest najlepszym zabezpieczeniem jasnej, pogodnej starości, która nie szarpie się w sobie przez żale i zgryzoty, przez uczucie zmarnowanego życia,—nie zatracając zdolności interesowania się szlachetnymi, idealnymi stronami życia i przeznaczeń ludzkości.“ Musi mieć ona przecież melancholię wieczoru — melancholię zachodzenia gdzieś naszego ducha, tak jak słońce zachodzi poza horyzont ziemskiego widzenia. Ale jest w tem i uspokojenie ciche: jest uczucie zbliżającego się odpoczynku. „Wszystko przyjdzie do człowieka, który chce czekać...“ a my czujemy teraz, że przyjdzie do nas to, co dla każdego kończy złe i dobre...

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korrespondencja zagraniczna.

Poznań w Maju 1888 r.

Odgłosy narad i zjazdów marcowych doszły was w chwili, gdy nowa klęska stłumiła u nas wszelkie echa społecznych robót i społecznych bied naszych. Straszna powódź nawiedziła naszą dzielnicę; od stu lat kroniki podobnego nie wspominają zalewu, a nie tylko wielkie wody utrapienia, lecz rzeczywista fala rozbitego żywiołu dokonała spustoszenia systematycznie ręką ludzką w dzielnicy naszej prowadzonego. Dziwną sprzecznością, tegoroczna wiosna i nagły roztop nie spowodowały zwykłych katastrof w okolicach górzystych, natomiast wywarły zniszczenie na płaszczynach, zazwyczaj mniej wystawionych na podobne niebezpieczeństwa. I oto, podczas gdy podkarpacie potoki i strumienie mniej szkód, niż innych lat, zrządziły, spokojne nurty Wisły, Warty, Prosy, Noteci, Baryczy, Brdy, Głdy, Orli i Obry wystąpiły w niepamiętny sposób z łóżysk swoich. U samych ujść swoich Wisła zalała przestrzeń kilkunastu mil kwadratowych. Najwymowniejszym dowodem gwałtowności tegorocznych wylewów nizinnych jest powódź sprawiona przez samą Wartę. Długość tej rzeki wynosi w obrębie regencji poznańskiej około dwustu siedemdziesięciu kilometrów. Rokrocznie przybierać zwykła na wiosnę; najstarsi jednak ludzie nie pamiętają powodzi tych rozmiarów, co ostatnia; nawet ogromne wylewy z lat 1852 i 1855, nie dorównały świeżej klęsce. Zazwyczaj Warta po roztopianiu śniegów zalewa 8.000 hektarów, w tym roku zalała ich 43.000, a dnia 6-go Kwietnia stało jeszcze 22.000 hektarów pod wodą. To właśnie stanowi główną doniosłość tegorocznej klęski, iż podczas gdy innych lat powódź trwała, co najwyżej, dwa tygodnie, tej wiosny trwała przez pięć tygodni. Częściowo lub całkowicie Warta zalała 165 osad, a dotknęła nieszczęściem 130.489 osób. W samym Poznaniu było 500 zabudowań pod wodą, a 2.122 osób bez dachu, doraźnie umieszczonych w barakach i gmachach szkolnych, nie licząc tych, którzy się schronili na wyższych piętrach domów dziś podmytych i groźących ruiną. Los tych ostatnich był może najcięższy z powodu trudności przystępu i zaopatrzenia w żywność ubocznych uliczek, w których prąd fali był nieraz nadzwyczaj silny. Do grozy położenia przyczyniło się niemało zalanie gazometru i pogrążenie stolicy w ciemności. Klęska przypadła na sam Wielki Tydzień, odcinając wiernych od kościołów, po części zalanych, tłumiąc w sercach nieszczęśliwych objawy wielkanocnego „Alleluja.“ Słusznie twierdzić można, iż było to święto miłosierdzia, czynnego poświęcenia i ogólnej ofiarności.

Doraźna pomoc szybko zorganizowana pośpieszyła z pomocą i pociechą,—z osłoda. Oile działa nie urzędowe okazało się z początku niedostatecznym i niepraktycznym, o tyle ochotnicy miłosierdzia rozwinieli chwalebny rozróżnienie i poświęcenie. Komitet obywatelski rozwoził żywność, zarządził składki, które z niebywałą posypały się hojnością. Fala ofiar zdawała się

ić o lepsze z falą zagłady, a skromne datki ubogich, groszowe jałmużny rosły szybko w tysiące. Zpośród osób produjących poświęceniem w tych smutnych i promiennych dniach żalości i litości, wymienić przedewszystkiem należy ks. kanonika Maryńskiego, dra Franciszka Chłapowskiego i hr. Honorynę Kwilecką, siostrę niezapomnianej w rocznikach warszawskiego miłosierdzia śp. Teresy Russanowskiej. Postarano się nawet o święcone dla nawiedzonej klęską dzielnicy. Żartkie łodzie rozwoziły jajka, ciasta i mięsiwa wielkanocne, złożone chętną ofiarą serc litościwych, aby dać prawdziwie chrześcijańskie *agapy* ciężko wypróbowanemu ludowi grodu naszego. Wielu z najbiedniejszych doczekało się tym sposobem bodaj sutszego święconego, aniżeli w zwykłych warunkach spodziewać się mogli.

Następnie do ofiar miejscowych przybyły i zamiejscowe. Małżonka naczelnego prezesa, hrabina Zedlitz-Trütschler, osoba z dobrem sercem, niezaciekniętą germanizacyjnymi namiętnościami, bez różnicy narodowości rozdzielała na desłane na jej ręce daniny odzieży, żywności i pieniędzy, powierzając ich rozdawnictwo najbardziej do tego posłańnictwa powołanym ręką. Doraźnej pomocy i ulgi jest więc niemało, ale kto zażegna następstwa powodzi, choroby wilgocią spowodowane, ruiny wodą zgotowane, straty ogromne, które w obrębie Prus liczą na przeszło 600 milionów? Sejm na wniosek rządu uchwalił ich mało więcej nad 30 milionów z ogólnych funduszy państwa; składki zaś, acz krociowe, nigdy w miliony nie urosną. Znaczna też część pieniędzy rządowych, bo kilkanaście milionów marek, pójdzie na naprawę i uzupełnienie robót publicznych, lichy wykonywanych przez inżynierów niemieckich. Nie wytrzymała ta urzędowa inżynieria żadnego porównania z zagraniczną. Dość jest tylko powiedzieć, że np. Warta, która nawet w czasie największej powodzi nie bywa wcale gwałtowną, w tym roku zerwała wszystkie tamy prócz jednej, a dwa mosty kolejowe zupełnie runęły.

Jedna z gazet niemieckich, oceniając rozmiary klęski, głośno się odezwała za użyciem milionów kolonizacyjnych na ulżenie powszechnej nędzy, zamiast marnowania ich na cele, co najmniej nie-ludzkie, a politycznie zawodne.

Prawdziwie błyskiem promienia wśród ciemności były dla nas niespodziane odwiedziny cesarzowej Wiktorii. Pierwszym też aktem monarszym dostojnej pani, która tak heroicznie od roku walczy ze śmiertelną małżonką chorobą, miało być nawiedzenie stron z tyłu względów najśrożej dotkniętych, jakby na udowodnienie szczerości zapewnienia cesarza Fryderyka, który w piśmie swoim programatowem oświadczył, iż wszyscy poddani są mu zarówno bliscy i drodzy. Stary gród Przemyśławów doraźnie się przystroił w sztandary angielskie, niemieckie i wielkopolskie, a mnóstwo czerwono-białych chorągiewek prowincjonalnych przyozdobiło nudne, jednostajne, banalnie wyglądające ulice miasta. Prassa codzienna przyniosła nam już opis tych królewskich odwiedzin, które miały zachować charakter ścisłego *incognito*. Tymczasem nasze obywatelstwo w kilka godzin urządziło poważną manifestację i podczas, gdy okrom sfer urzędowych, niemiecki żywioł prawie wcale nie wystąpił, polscy naszej dzielnicy mieszkańcy witali tłumnie i uprzejmie ukoronowaną przedstawicielkę nowych prądów rządowych, którym oby Bóg dał się rozwinąć i ustalić. Panie polskie w dobranym zastępie przedstawiały się cesarzowej, która we francuskim języku łaskawie dopytywała się o powodzian, o zarządzenia ratunkowe, a przyjmowała kwiaty i życzenia. Po powrocie do Berlina, cesarzowa odezwać się miała do osób swego otoczenia: „Słyszałam zawsze o wdzięku i urodzie Polek, ale te, które widziałam, przeszły jeszcze moje oczekiwania.“

Opuściwszy łożo cierpienia męża, nad którym tak wytrwale czuwa, wchodząc w najdrobniejsze szczegóły posługi chorego, schodząc codziennie do kuchni, aby pilnować sporządzania jego posiłków, cesarzowa Wiktorja krótko tylko mogła się w Poznaniu zatrzymać. Użyła tych kilku godzin na objazd najbardziej dotkniętych części

miasta i zwiedzenie doraźnych przytułków dla powodzian. Wszystkich uderzyła rozróżniona troskliwością i logiką, bystrością umysłu i dobrocią serca, wnikającego w różne strony niedoli ludzkiej. Wypytywała się szczegółowo o los biedactwa, nie tracąc z oczu wyższych zagadnień chwili, a mianowicie palącej kwestyi mieszkań roboczych, która w Anglii na coraz doskonalsze wchodzi tory.

Pierwszy to raz od lat wielu Poznań zaszczyconym został odwiedzinami monarszemi. Cesarz Wilhelm nigdy do miasta naszego nie zawitał, wierny osobistej do Polaków niechęci, którą przez całe stwiedzał życie. Następca jego, lat temu dwadzieścia, z małżonką przelotnie w naszych murach gościł; ale tak ściśle odsunięto wówczas żywioł polski od uczestniczenia w przyjęciu, iż dostojna para mogła istotnie mniemać, że się znajduje na gruncie czysto-germańskim. Sięgając trzeba pamięcią do początków panowania drobotliwego Fryderyka Wilhelma IV-go, aby uprzytomnić sobie pobyt panującego w mieście naszym. Z wielu też względów cesarz Fryderyk zda się wstępować w ślady stryja, obcego polityce krwi i żelaza, przeprowadzanej przez księcia Bismarcka. Ale i czasu i sił-by potrzeba niemało, aby zmienić dotychczasowy systemat, a tymczasem wszystko dotąd idzie podawnemu; kommissya kolonizacyjna z wiosną nowo swe zagony rozpoczyna i policyjne szkolnictwo dalej prowadzi swe zniszczenie. Duch nowego monarchy niezłamany fizycznym cierpieniem, ale niemi skrzepowany, nie przeniknął w głąb, nie poruszył nawet dotąd maszyny rządowej, która zwykłym idzie trybem, nakręcana wszechpotężną dłonią kanclerza.

Z łask towarzyszących wstąpieniu nowego władcy na tron ojcowski, względnie niewiele w nasze sięgnęło granice. Amnestya złagodziła, a raczej skróciła, cierpienia wielu, cofnęła list gończy od kilkunastu lat wydany za kardynałem Ledóchowskim. Z pośród kilku odznaczeń, które spadły na obywateli naszej prowincji, najdonioślejszem jest tytuł książęcy nadany wielkiemu marszałkowi dworu cesarskiego, hr. Hugonowi Radolińskiemu. Jako „książę na Radolinie“, zatraci on swojskie brzmienie ojcowskiego nazwiska. Cesarz Fryderyk wyróżnia prawdziwie przyjacielskim uczuciem swego wielkiego marszałka.

Statystyka ludności Wielkiego Księztwa Poznańskiego, świeżo zebrana, ciekawych nam znowu przysporzyła szczegółów. Ludność ogólna wynosi obecnie 1,715,618 mieszkańców, urosła więc o 12.000 dusz od ostatniego spisu, sporządzonego w r. 1880. Jak w całych Prusach, tak i tutaj przemaga płeć niewieścia: na 824,958 mężczyzn mamy 890,660 niewiast. Słynny filozof-oprawca Hartmann dla zniesienia tej liczebnej przewagi kobiet, zaleca jak najwcześniejsze śluby, ponieważ tylko do 20-go roku życia obie płcie dorównują sobie liczebnością, następnie zaś żywioł męzki zmniejsza się gwałtownie. Tylko w trzech prowincjach pruskich stosunek ten przedstawia się odwrotnie, a mianowicie w Westfalii, nad Renem i w Szlezwig - Holsztynie; w dwóch pierwszych prowincjach przewaga mężczyzn wytlómaczyć się daje mnóstwem kopalni i zakładów fabrycznych.

Ludność wielkopolska rozpada się według statystyki wyznaniowej na 1,131,869 katolików, a 531,722 protestantów; w liczbie katolików jest wielu Niemców, a między Protestantami znajduje się przedstawia stosunek żydowskiej ludności, która w Księstwie wzrastała do roku 1846, aby odtąd gwałtownie spadać, jeżeli nie w rzeczywistości, to w liczbach statystycznych. Przy każdym spisie ludności nowy w tej mierze zaznacza się ubytek, a z 81,300 dawnych mieszkańców żydowskich, którzy normalnie powinni być się rozmnożyć, liczba ich spadła na 50,000. Co jest powodem tego niewytłómaczonego ubytku? Orzec trudno. Nie wiedzieć czy na to wpływa wzrost samorodnego przemysłu, czy też ciążenie ku wię-

1) W przybliżeniu ludność polska wynosi 1 milion, niemiecka 700,000. (P. R.).

kszym ogniskom handlu. Berlin, np. który w r. 1816 miał zaledwie 40,000 żydów, ma ich dziś 64,000. Niewątpliwie też i wielu tych, którzy w dawnych schematach statystycznych występowali jako Żydzi nowe schemata podają jako „Niemców.“

Pod względem ogólnego zaludnienia Wielkie Księstwo Poznańskie zajmuje ósme miejsce w szeregu prowincji pruskich, a, niestety, pierwsze pod względem wychodźstwa. Ruszył się znów prąd emigracyjny ku Ameryce, przybierając w niektórych stronach zatrważające rozmiary, a z innej strony oplakańska choć bliższa wędrówka dziewcząt wiejskich i parobków do Saxonii i Westfalii na robotę, wyprowadza najzdrowsze żywioły z granic naszych, wiodąc je najczęściej na zgubę moralną i zagładę wszystkich dodatnich ludu naszego pierwiastków. Bolesne sprawiają wrażenie całe wagony wypełnione szczelnie ludzkim towarem, czy trzodą—nie wiem co właściwsze; werbowników swoich bowiem traktują niecni agenci nieraz jakby nieludzkie istoty.

A wyprowadzają oni ztąd względnie taniego robotnika, przeważnie na tak zwaną kampanię buraczaną, która rozpoczyna się z wiosną, sadzenia cukrodajnej rośliny się dopiero zakończyć w późnej jesieni wraz z jej wybraniem.

Wskutek zapóźnienia się z tegorocznymi siewami ustały chwilowo wiece, które tak ożywiały społeczność naszą w ciągu minionej zimy. Naliczyliśmy ich ze sto dwadzieścia i bodaj żadna miejscina księstwa nie obyła się bez własnego zebrania, o różnych rozmiarach. Teraz, po ukończeniu wiosennych robót, przyjdzie kolej na wiejskie zgromadzenia i parafialne wiece, które ostatecznie rozbudzić mają czujność rodzicielską i troskliwość około nauczania dzieci polskiego czytania i pisania. Dotychczasowe usiłowania uwieńczył najpiękniejszy skutek, a nia wiem co gorętszem przyjąć uznaniem: czy gorliwość i poświęcenia uczących, czy też chętna skwapliwość działwy do korzystania ze sposobności ćwiczenia się w języku ojców.

Skoro już wdaliśmy się w statystykę, warto jeszcze przytoczyć liczby większej w W. Księstwie Poznańskim własności, według najświeższego obrachunku. Największe obszary ziemi posiada u nas książę Thurn-Taxis, jako właściciel owego Księstwa Krotoszyńskiego, którem jego przodków wynagrodzono za urządzenie pocztowej w państwie pruskim obsługi, a które liczy około 40,000 hektarów. Na drugim miejscu po królewskich widzimy księcia Antoniego Hohenzollern-Sigmaringen z linii katolickiej domu panującego; na trzecim już, niestety, fiskalne majątki komisji kolonizacyjnej; poczem następuje trzech Polaków: książę Ferdynand Radziwiłł, książę Antoni Sułkowski i hrabia Karol Raczyński, z trzema ordynacjami: Przygodzicką, Rydzyską i Obrzycką. Korzyści do ustanowienia majoratów przywiązane uwydatniają się w obecnej chwili, kiedy majątki prawami ordynackimi obwarowane przez to samo „był swój zabezpieczają, i jeszcze, jak np. w powyższych bywa razach, dają właścicielom stałe głosy wirylne w sejmie prowincjonalnym. Więcej takich fortec, a obecne położenie nie byłoby tak oplakanem... Dotąd jednak w poczcie 72 większych właścicieli, czyli takich, których grunta przechodzą trzy tysiące hektarów, jest jeszcze większość polska. Zpośród książąt rzeszy najznaczniejsze obszary posiada znany w Warszawie książę Sasko-Altenburski, dalej ks. Sasko-Wejmarowski, oraz brat męża królowej Wiktorii, Alberta, Ernest ks. Sasko-Koburski, autor niedawno ogłoszonych pamiętników.

Skolataną terazniejszością myśl nieraz szukała w przeszłości punktu oparcia, ukojenia, pociechy. Aż oto dwóch najdzielniejszych pracowników nam w tym kierunku ubywa. Jeden historyk saskich czasów, niezmordowany badacz minionego stulecia, Kazimierz Jarochoński, już spoczął po znojem życiu. Drugi, dziejopis prymasowskiej stolicy, sam do biskupiej świeżo powołany godności, ks. kanonik Korytkowski

dogorywa w cieniu grobowca Ś. Wojciecha. Wspomniała pielgrzymka ze wszystkich stron naszej dzielnicy przybyła na święto Apostoła przez Prusaków umęczonego, ożywiła przelotnie ciche Lechowe gniazdo i stwierdziła raz więcej rzewną ludu naszego pobożność. Znalazła się w Rzymie garska pątników wielkopolskich. Wspomnieć należy prostego kmiotka, który już ztąd poraz trzeci udaje się *ad limina Apostolorum*, nie żalując grosza w pocie czoła zapracowanego na wznowienie podróży tak obfitującej w ożywiające ducha wrażenia. Wszyscy ubolewają nad rozproszeniem darów jubileuszowych na wystawie watykańskiej, kiedy wcale pokazać mogliśmy wystąpić skupiając ofiary swe i datki w umyślnym oddziale. Wogóle nie dość dbamy o przypomnienie siebie i popisywanie się na międzynarodowych zborach, kiedy na warunkach powodowania nie zbywa nam przecież wcale. Do Glasgowa i od nas poszły śliczne roboty zakładu przemysłowego panny Wandy Karłowskiej z Poznania, a odgłosy nadechodzące z Anglii licznymi obustalunkami stwierdzają zagraniczne polski zjednanie krajowym naszym wyrobom.

Ciężka zima, spóźniona i zimna wiosna uzupełniają klęskę sprawioną przez powódź. Rolników nadzieje są bardzo słabe, a bieda ostatecznie jakoby się u nas rozgospodarować chciała na dobre. W tych warunkach próżno szukać i czekać odgłosów życia artystycznego i literackiego, zamierającego wśród troski o chleb i walki o byt. Na tej skardze, dziś aż nadto uogólnianej, zamknę list dziejszy.

PODRÓŻE NAUKOWE.

(Dokończenie).

Młody podróżnik francuzki udał się w roku zeszłym w podróż dla zwiedzenia mało dotąd znanej południowej części Marokka i o mało życiem nie przypłacił swej odwagi. P. Kamil Douls (takie nosi nazwisko)—wpadł w ręce plemienia koczującego, które postanowiło zamordować go w najokropniejszy sposób. Zakopano go bowiem w gorący piasek po szyję i umieszczono w bliskości miski z wodą, której nie był w stanie dosięgnąć. W ten sposób przechodził straszne katy-pragnienia.

Wówczas wpadł na myśl zacytowania kilku ustępów z Koranu, które umiał na pamięć. Podstęp ten wywarł swój efekt. Prześladowcy bowiem, sądząc, że mają do czynienia z wyznawcą Mahometa, wyciągnęli go natychmiast z piasku, przyniesiono mu mleka a szejik plemienia ofiarował mu swą córkę za małżonkę. Po kilku dniach opuścił plemię koczujące i udał się do Marokka, lecz tu przechodził nowe nieprzyjemności, w końcu odstawiono go do Tangeru, ztąd, dzięki pośrednictwu konsula angielskiego puszczonemu został na wolność i mógł odplynieć do Londynu.

Dwóch młodych inżynierów belgijskich badało starożytności w Hiszpanii w roku ubiegłym. Wydobyli oni około 1.200 pamiątek z rozlicznych kryjówek, dających wyobrażenie o wieku kamiennym, żelaznym, brązowym i złotym. Prócz tego wykonali wielką ilość badań na rozlicznych cmentarzach, skutkiem czego dowiedziano się, że grzebani umarłych w tym kraju odbywały się w wielkich dzbanach polewanych, lub w cystach kamiennych. W grobach znaleziono wielką ilość broni, klejnotów i innych przedmiotów, oczekujących określenia epoki, z jakiej pochodzą.

Minister robót publicznych we Francji wydelegował pana Chaffanjou dla zbadania źródeł rzeki Orenoko dotąd w zupełności nieznanych. Po czterdziesto-sześciu-dniowej podróży i pokonaniu licznych trudności, jakie mu dzikie plemiona stawiały, dotarł do celu. Rzeka jest rozmaitej szerokości a w wielu miejscach znajdują się na niej wyspy i wodospady. Źródła są jakby okryte wielkim amfiteatrem gór. Jeden z wierzchołków tych gór nazwanym został przez Chaffanjou wierzchołkiem Lessepsa.

Od dwóch lat dzienniki wszystkich krajów podawały od czasu do czasu wiadomości o przedsięwziętej podróży, przez śmiałego Amerykanina Tomasza Stevensa około świata na... welocypedzie. Dowiadywaliśmy się z nich po kolei, że przybył do Konstantynopola, że się znajdował na granicach Indyj, że dotarł do Chin i przejechał Japonią. Obecnie donoszą, że ukończył swą jazdę i przybył w roku zeszłym do San-Francisco. Gazety amerykańskie podają szczegóły tej oryginalnej podróży, która trwała dwadzieścia jeden miesięcy.

Pan Tomasz Stevens wyjechał tryumfalnie wobec niezliczonej liczby widzów, zgromadzonych na tamie portowej w San-Francisco w r. 1885, na wiosnę. Znajdował się na zwyczajnym bcyklu bez bagaży i pożywienia, opatrzone tylko w pugilares mocno wyładowany banknotami i w nabyty rewolwer. Wątpiono wówczas, aby mógł zjechać do Nowego Yorku. Odbył jednakże podróż lądową dążąc drogą po Pacific-Railroad, wsiadł na okręt i udał się do Liverpoolu. Gdy tam przybył 2 Maja 1886 roku oczekiwany był przez pięćdziesięciu członków miejscowego Bicycle-Clubu. Przejechał Anglią, wsiadł na okręt w Newhaven przybył do Dieppe i na Rouen, Paryż, Genewę, Wiedeń i Białogrod przyjechał do Konstantynopola.

Dotąd zadanie nie było połączone z wielkimi trudnościami. We wszystkich miastach, które przebywał, robiono mu owacy, w czem główny udział brały towarzystwa welocypedowe, które mu przygotowywały bieliznę, ubrania i pierwszorzędną hotel dla wypoczynku. Podróż stawała się owiele trudniejszą w miarę tego jak przybywał w głąb Azji. Rzeczywiście z przyjęć jakie urządzało Stevensowi, można wnosić o stopniu cywilizacji krajów, jakie przebywał.

I tak w Azji Mniejszej był dwa razy napadniętym: raz w okolicach Erzerumu, a drugi raz w Husenbegchan, ztąd jedynie dzięki rewolwerowi wyszedł cało. W Persyi przyjmowanym był z wyróżnieniem, nawet przez wysokich dygnitarzy i samego szacha, lecz często prześladowanym był przez ludność wiejską i niższe organa policyjne. W Afganistanie między Heratem i Kandaharem, został zaaresztowanym przez naczelnika plemienia, który w nim upatrywał agenta angielskiego i wzbronil mu przejazdu. Zmuszono go do wrócenia się z drogi. Następnie przez Kurraczy, Lahorę, Delhi, Agrę, Caunpore do Kalkuty ztamtąd morzem do Hong-Kong, i Kantonu. Tu dosiadł swego żelaznego rumaka i próbował teraz przejechać Chiny z Południa na Północ do Pekinu. Wkrótce jednakże niegościnność Chińczyków zmusiła go do zaniechania tego projektu. Naraz ujrzał się obleganym przez tłum uzbrojony w kije i kamienie, strasznie nęcający się nad naszym bohaterem; niewiele brakło, aby życiem przypłacił swą śmiałość. Władza miejscowa, wyrwawszy go ze szponów rozkiełzanego motłochu, poradziła mu, aby wrócił do Szangaju, i w tym celu dała mu eskortę. Z Szangaju udaje się podróżnik do Japonii. Tu od ludności miejscowej doznaje zupełnie odmiennego przyjęcia. Nietylko, że cieszy się gościnnością w najmniejszych miasteczkach i wioskach, lecz ludność z zaciekawieniem przygląda się jego bcyklowi. Gazety japońskie bardzo obszernie opisują jego pobyt w Japonii i zapowiadają powtórny przyjazd. Ztąd Stevensowi nie już nie pozostawało, jeno wsiąść na okręt i przybyć do San-Francisco, ztąd wyjechał przed dwoma laty.

Prócz dolegliwości, jakie przebył w Chinach i wielkiego zmęczenia w Azji Mniejszej, przykrość miał jedynie tę, że przez przeciąg 17 dni, nie mógł zmienić bielizny w Afganistanie. Nie potrzeba dodawać, że reperacja bcyklu zdarzała się bardzo często, tak, że można bez przesady powiedzieć, że z tego, na którym wyruszył z San-Francisco nie pozostała ani jedna szprycha pierwotna.

Konsul amerykański w Buenos-Ayres donosi o nowych odkryciach dokonanych na Ziemi Ognistej. Niewiele jest krajów zamieszkałych przez ludzi, a tak mało znanych, jak Terra dell Fuego. W roku 1832 udał się Anglik nazwiskiem Fitzroy w celach naukowych na okręcie „Beagle“ do po-

1) Zmarł już w dniu 14 Maja; pochowany w dniu 18 b. r. w Gnieźnie.

łudniowych brzegów Ameryki. Między załogą znajdował się znakomity Karol Darwin, który swe sprawozdania w oddzielnym dziele opisał. Misjonarz angielski Bridges, który przez 25 lat z żoną i dziećmi przemieszkał w Ziemi Ognistej; przybył w roku zeszłym do Buenos-Ayres i tu miewał odczyty o tym kraju. Prócz tego członek towarzystwa geograficznego w Buenos-Ayres, na żądanie swego rządu zwiedził archipelag i z tego źródła zaczerpnął właśnie wiadomości do raportu swego konsula amerykańskiego nazwiskiem Baker. Podróżnik nazywa się Ramon Lista, i oto co dzięki jego przedsięwzięciu dowiedziano się o tym szczególnym i ze wszech miar ciekawym odcinku naszego globu. Grupa wysp archipelagu położoną jest między 52°—56° szerokości i 63°—75° długości południowej. Największa z nich nosi właściwie nazwę Ziemi Ognistej, dalej idzie pięć mniejszych i wielka ilość małych wyspek. Całość zajmuje przestrzeń około 80.000 mil angielskich kwadratowych. Grunt i klimat są nadzwyczaj rozmaite. Na wyspach znajdują się wysokie góry, głębokie doliny i żyzne równiny, są tam także jeziora, rzeki i nieprzebyte lasy. Bridges powiada, że w wilgotnych nizinach zachodniego brzegu wyspy rzadko kiedy marznie, w środkowej i wschodniej części za to, przy zupełnie pogodnym niebie, przez Czerwiec, Lipiec, Sierpień i Wrzesień zimna bywają bardzo znaczne i trwają bez przerwy. Lata w północnych częściach bywają znacznie cieplejsze, aniżeli w południowych, wschodnich częściach wyspy.

O mieszkańcach tamtejszych, powiada Darwin: „Są to istoty zupełnie niepodobne do ludzkich i trudno ich pożytywać za mieszkańców tego świata.“ Inni podróżnicy opisują ich, jako piękną, silną odmianę rodzaju ludzkiego. Zdziwiałem jest to, że zupełnie dwie odmienne rasy Indian zamieszkują ten kraj, z których jedna północną część wyspy, a druga południową zaludnia, i różnią się między sobą cechami bardzo wybitnymi. Różnicę, zdaje się, stanowi klimat i żywność, jaką sobie obrały. Bridges nazywa mieszkających na południu „Aanami“, a północnych „Onasami“; są to nazwy, które wziął od tubylców. Ostatni są wielkiego wzrostu i silni, używają łuku i strzał i utrzymują się z polowania. Przed dwoma laty wytrzebiła ich odra, tak dalece, że zaledwie 500 pozostało przy życiu. Południowcy żyją głównie z połowu ryb; według Bridgesa, który przeżył między nimi ćwierć wieku, nie zostają pod względem inteligencji na ostatnim stopniu ubóstwa, jak to utrzymywał Darwin. Jedzą wyłącznie mięso gotowane. Nie zaślubiają krewnych, jedni posiadają jedną, inni po dwie i po trzy żony. Pędzą życie towarzyskie i okazują umysł pogodny. Było ich około 3.000, lecz skutkiem ospy i innych chorób przywiezionych przez Białych, ludność ta znakomicie się uszczupliła.

Baker przytacza zdanie inżyniera niemieckiego Scheltza, który w zimie roku zeszłego (tamtejsze lato) zwiedził część kraju, że góry obfitują w złoto, srebro i miedź i że eksploatacja tych metali dałaby wielkie korzyści. Jedyną osadą kolonizacyjną w tej części świata jest Punta-Arenas, przy północnym brzegu Cieśniny Magelańskiej, została przez rząd chilijski założoną, jako osada dla skazanych. Przed kilku laty, zesłańcy zamienili wieś w perzynę, a sami schronili się do Patagonii, zostali jednakże około Chupat ujęci i wydani. Później odbudowano znowu wioskę i obecnie liczy ona około 2.000 mieszkańców. Jest to miejsce handlowe dla okrętów, które poszukują w tem miejscu guana i wielorybów. Prócz tego zgłaszają się tu po węgiel, który jest bardzo dobrego gatunku. Dwa towarzystwa żeglugi: jedno niemieckie, Lloyd'a, a drugie „Liverpool Pacific Company“ przysyłają dwa razy na miesiąc do Punta-Arenas przez Cieśninę Magelańską swe okręty.

Z DZIAŁU PRZYRODY

Kronika najnowszych wynalazków i odkryć naukowych.

Dr. Ochorowicz i hypnotyzm. — Insolacja elektryczna. — Środek dezynfekcyjny. — Wycieczka nadpowietrzna. — Nowy środek na sen. — Kretowiska. — Zjawisko natury. — Konserwowanie kwiatów.

Pragniemy dzisiaj na początku naszej kroniki, przynajmniej kilku słowami wspomnieć o działalności Dra Ochorowicza w Warszawie.

Dr Ochorowicz uprawia u nas sztukę leczenia zapomocą magnetyzmu zwierzęcego, czyli hypnotyzmu.

Pierwsza część działalności, teoretyczna, naszego uczonego na polu fizyki i filozofii, — wiadomo bowiem, że Dr Ochorowicz ulepszył telefon i wydał parę dzieł treści filozoficznej, zasadzała się na wygłoszeniu odczytów w sali ratuszowej; druga skierowaną została na drogę praktyczną, w klinice uniwersyteckiej, gdzie eksperymety dokonywane były na chorych, za zezwoleniem dyrektora prof. Lambia, w obecności lekarzy i studentów medycyny.

Na odczytach, które wzbudziły ogólne zaciekawienie, zbierało się liczne audytoryum, sala ratuszowa za każdym razem zapelniała się po brzegi. Cierpliwi słuchacze dowiedzieli się o nauce Hansena, właściwego odkrywcy hypnotyzmu, o jego przesładowaniu w Niemczech o powodzeniu we Francji; przyczem Dr Ochorowicz uważał za stosowne zmieszać z błotem medycynę XVIII wieku, rozseparować magnetyzm zwierzęcy od hypnotyzmu i dowodzić, że jedynym racjonalnym środkiem leczniczym przeciwko wszystkim chorobom, jest środek przez niego stosowany t. j. magnetyzm zwierzęcy.

Gdy rzecz jednak weszła na drogę praktyczną, gdy Dr. Ochorowicz w obecności specjalistów podjął leczenie choroby dotąd uważanej za nieuleczalną, jaką jest *tabes dorsualis* i ciężkich form hysteryi, t. j., gdy odwrócono medal na drugą stronę, przekonano się o tej starej prawdzie, że teoria i praktyka nie są identycznymi rzeczami.

Dr Ochorowicz nie tylko nie przyniósł chorym ulgi, ale jeszcze pod pewnymi względami stan ich pogorszył się, tak, że zabroniono mu dalszych eksperymentów.

Mózna się spodziewać znowu kilku odczytów. Na innym miejscu w „Bluszczu“ nie omieszkamy obszerniej nad tym przedmiotem się zastanowić, a teraz przechodzimy... do porządku dziennego.

* * *

Skutkiem rozpowszechnienia elektryczności jako źródła oświetlenia, ku czemu zastosowano w ostatnich czasach lampy o kolosalnym natężeniu, dowiadujemy się od czasu do czasu o porażeniu elektrycznym, wywołującym podobne objawy, jakie spotykamy przy porażeniach słonecznych (insolacji).

Dr Defontaine obserwował takie porażenia, sprawozdanie o nich odczytał w Paryżu Towarzystwie Chirurgicznemu Dr Treppé.

Wydarzać się ono może jedynie skutkiem niezmiernie silnego światła elektrycznego, odpowiadającego sile 10,000 lamp naftowych, czyli 100,000 świec stearynowych. Na 10 metrów odległości od takiego źródła, siła światła jest tak wielką, że chociaż nie doświadcza się żadnego uczucia ciepła, pomimo to wywołuje ból głowy. Pewien młody lekarz zapewnia, że doznawane wrażenie jest w zupełności podobnym do tego, jakie wywołuje insolacja z wyjątkiem uczucia ciepła. Defontaine zauważył, że po upływie 2 do 3 godzin przebywania w tak silnym oświetleniu elektrycznym, nawet wówczas, gdy strumień był przerywanym, doznaje się ciepła w głowie, szczególnie zaś w okolicy czołowej, na twarzy i na szyi, skóra w tych miejscach zaczerwienia się, dozna-

je się migania w oczach światła czerwonego na przemian z żółtem, podobnie, jak to ma miejsce przy otruciach santoniną, albo przy dłuższym patrzeniu na śnieg; przyczem łącznica oka znajduje się w stanie zapalnym. Temperatura nawet w odległości 5 metrów od źródła światła nie jest podwyższoną, a pomimo to człowiek przebywający w oddaleniu wynoszącym 10 metrów doznaje powyższych objawów.

Fakt ten wskazuje wpływ światła elektrycznego w sprawach biologicznych; czy przychodzą one do skutku pod działaniem czerwonych i żółtych promieni, czy też chemicznych t. j. fioletowych i ultra-fioletowych? — tego Defontaine nie objaśnia. Stwierdza tylko zaczerwienienie i mniejsze albo większe swędzenie skóry, t. j. pierwsze objawy oparzenia, znikające po upływie dwóch lub trzech dni. Robotnicy w fabrykach zasłaniają twarz i szyję; dla ochrony oczu radzi Defontaine okulary czerwone albo szare, podobne do tych, jakich używają inżynierowie w hutach metalowych.

* * *

Znakomity Pasteur zaleca w ostatnich czasach, jako najlepszy środek dezynfekcyjny siarek węgla. Jest to związek rożnika alkoholowego z siarką, czyli alkohol siarczany. Działanie jego na organizmy wyższe jest podobnem do działania chloroformu, skutkiem jednakże bardzo nieprzyjemnego zapachu nie podobna go używać. Zresztą, jest to płyn bezbarwny, nadzwyczaj łatwo ulatniający się, z naczyń wylewa się z wielką obfitością. Jest on również doskonałym środkiem przeciwko owadom. Ażeby dać pojęcie, jak wielką ilość tego preparatu zostaje potrzebowaną, powiemy tylko, że dla wytopienia filloxy, pasorzytu wina, rocznie produkują go 3½ miliona kilogramów. Oczyszczając kilkakrotnie siarek węgla, można go w znacznym stopniu pozbawić nieprzyjemnego zapachu, co również osiągnąć się daje przez dodanie jakiegobądź środka pachnącego.

Byłoby bardzo do życzenia, aby i u nas rozpoczęto próby z tym środkiem w celach dezynfekcyjnych, i to tembardziej, że według dzisiejszego stanu nauki większa część chorób zaleźną jest od grzybków, które jedynie potężnymi środkami dezynfekcyjnymi można niszczyć i temsamem choroby nie dopuścić albo ją usunąć.

(Dokończenie nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— Dnia 11 Maja odbyła się w oddziale wychowanki Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności doroczna *wizyta generalna* członków Towarzystwa i pań opiekunek. W sali, gdzie znajdowało się zgromadzonych 66 wychowanek, rozłożone były na stole rozmaite okazy ich pracy ręcznej: sukienki przez nie uszyte; koszule, które same skroiliły, uszyły, następnie uprały i uprasowały, nawet hafty już wytworne. Obok tego dziewczątka odpowiadały na pytania z nauki pogładowej i religii, mówiły wierszyki, opowiadały sposoby przyrządzania rozmaitych potraw, świadczące o pewnym uzdolnieniu ich w kierunku domowego gospodarstwa, wreszcie śpiewały chórem. Przyznano 25 nagród ogólnych za pożądaną postępy i pilność, 4 za dobre pożywanie koleżeńskie, 5 za śpiew. Wychowanki Towarzystwa Dobroczynności są to sieroty, które Towarzystwo sposobi na dobre sługi w rodzinach prywatnych, przeciw obecnie dwie z pomiędzy nich, okazujące wyższe zdolności umysłowe, uczęszczają na pensy panien i mogą w przyszłości obrać sobie zawód dozorczyń w ochronach.

— P. Józefa Malik, nauczycielka dziewcząt w Warszawskim Instytucie Głuchoniemych, została tamże nadzorczynią oddziału żeńskiego.

— Zarząd wystawy tkackiej postanowił, niezależnie od nagród, przyznanych wystawcom,

rozdzielić między wystawców włościan pewną liczbę podarków użytecznych, jako zachętę i wynagrodzenie za trud, podjęty przy wystawianiu prac swoich. Podarki te są większe i mniejsze; w liczbie obdarowanych znajdują się 33 wystawcy, z pomiędzy tych 23 otrzyma podarki większe, 10 mniejsze.

— Pisma warszawskie doniosły o wynalezieniu przez jedną z pań tutejszych przyrządu ochraniającego od upadku przy myciu okien, a który ma się zalecać bardzo prostą i niekosztowną konstrukcją. Jeżeli sąd techników, którym wynalazek przedstawionym został, wypadnie pomyślnie, to nie tylko gospodarstwo domowe zyska pewne ułatwienie w pracy, powtarzającej się kilka razy do roku, ale grzech bezlitosnego barbarzyństwa przestanie ciążyć na wielu z tych gospodyń, które przez obojętność, zapewne wskutek przyzwyczajenia powstałą, pozwalały, aby mycie okien na piętrach górnych odbywało się bez wyjęcia tychże poprzednio i wtedy myjąca je osoba, po większej części też kobieta, wisi niemal w powietrzu, stojąc na wąskiej futrynie okna, podana naprzód pół ciałem i wyciągająca się w górę dla dostania do pierwszej szyby. Bóg zapłać tej dobrej, tkliwszego serca kobiecie, która pomyślała o usunięciu tej rzeczy smutnej.

— 100-letni jubileusz służby w jednej rodzinie obchodziła niedawno Anna Wasilewska, która w czwartym już pokoleniu swoich pracodawców pełni obowiązki piastunki. W 1838 r. licząca lat siedemnaście, weszła do domu p.p. Malinowski, gdzie wyniańczyła pokolei siedmiorga dzieci, i obecnie pełni to samo zajęcie już przy wnukach swej wychowanki. Blisko siedemdziesięcioletnia, posiada przecież dość siły, aby to czynić mogła; a wszystkim swym wychowankom mówi po imieniu. Jeden z wychowanków pocztowej kobiety, w Ameryce przebywający, p. Kalixt Malinowski, przysłał jej z wyrazem swych życzeń telegram. Uroczystość też była tego godną, bo świadectwo to jest zacności i dobroci serca całego tego gronka ludzi, wśród których święconą była. Tylko u dobrych, uczciwie ludzkich pracodawców mogą być dobre sługi, zwłaszcza dla pani domu jest to jeden z pierwszych tytułów do przyznania jej nazwy dobrej chrześcijanki, dobrej obywatelki kraju swego. Stosunek jej do domowników to stosunek jej do ludu: do pracującego, do ubogiego.

— Warszawska rada miejska dobroczynności publicznej przyjęła aktem darowizny zapisany dla *Domu Sierotnictwa Opieki Najświętszej Maryi* legat Julii Pusłowskiej, 7,685 rs.

P. Anna Szejbler ofiarowała 10,000 rs. na budowę kościoła wznoszącego się w Łodzi pod wezwaniem *Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny*. Ta zacna pani niejednokrotnie już nie pożalowała grosza na rzecz użytku publicznego.

— Klementyna Wiśniewska, córka pedagoga, w Peszcie zamieszkującego, otrzymała w Sorbonnie pierwszą nagrodę za opracowanie tematu: „Pasteur i jego odkrycia naukowe“.

— Na wystawie introligatorskiej w Nowym Yorku, zaznaczyły się prace p. Celestyny Mićkińskiej: ozdobnie oprawne książki i folio.

— Papież obdarzył księżną rejentkę brazylijską złotą różą.

— W Waszyngtonie, w *Patent Office*, otrzymało patenta na rozmaitego rodzaju wynalazki blisko dwa tysiące kobiet.

— Sejm finlandzki uchwalił równość kobiet studentek z mężczyznami ich towarzyszami, co do stypendyów w uniwersytecie Helsingforskim.

— Nauka zręczności w ręcznej pracy rzemieślniczej, rozwijająca muskularność i siłę (Slöjd),

a która w państwach skandynawskich rozpowszechnia się bardzo i jest stosowaną w szkołach, znajduje wiele uczennic i między kobietami klas wyższych. Wychodzące w Kopenhadze pismo, przedmiotowi temu poświęcone: „Slöjdundervisningsblad“ donosi, że w szkolnych warsztatach *Slöjdu* kształcą się prywatnie poza godzinami szkolnymi wiele kobiet. Co tydzień w poniedziałki i czwartki zbierają się tam o 7-ej godzinie wieczorem obok nauczycieli szkół ludowych i nauczycielki, chcące uzdolnić się do nauczania następnie w szkole swojej rzemiosł, tych nawet, w których materiał obrabiany jest twarde, a narzędzie do tego ciężkie. Prócz tego o godzinie 8-ej we wtorki, środy i soboty, przybywają tam panie młode i starsze i pracują, a raczej uczą się na warsztatach *Slöjdu* ręcznej pracy rzemieślniczej, na przykład stolarstwa, tokarstwa, a to celem rozwinięcia w sobie sił. Piszący o tem pedagog duński Axel Mikkelsen, cieszy się bardzo z faktu, który uważa za rzecz wielce szczęśliwą ze względu na rozwój fizyczny kobiet. Zaprzeczyc temu nie można, ale nasuwa się tu pytanie: czy nie jest to sztucznym poszukiwaniem tego, co dobrze zrozumiane wychowanie daje kobiecie w sposób naturalny i praktycznie korzystny, przez osobiste zajmowanie się gospodarstwem domowym, z przyłożeniem do niego ręki własnej? Czytając pamiętnikowe wspomnienia dawnych pań, naszych i cudzoziemek, znajdujemy tam szczegóły, dowodzące, że dziewczęta klas najwyższych same sprzątały pokoje swoje, poczynając od zamiatania, że potem już jako kobiety dorosłe, gospodarowały podobnie, podejmując pracownice wiele robót gospodarskich, oprócz skrzętnego zajęcia się nadzorem całego ruchu domowej maszyny. Każda gospodyni wie, że gdy tak jest, już nie potrzeba jej wtedy uciekać się do sztucznego sił swych użycia i że po dniu tak pracownice i dodajmy pożytecznie dla mienia rodziny spędzonym, potrzebnym jej jest jedynie—odpoczynek. Niech *Slöjdem* kobiety będzie osobiście prowadzone gospodarstwo rodzinne, a zdrową się stanie i czerstwą.

— Indyanka, która przecież przyjęła już cywilizację europejską i angielską mową dobrze władać umie, córka naczelnika pokolenia Omaha, przesała do *Angielskiego kobiecego stowarzyszenia wstrzemięźliwości* (British Womens Temperance Association), obradującego właśnie w Londynie, adres wielce charakterystyczny. Dziękuje Angielkom, że czynią się apostołkami wstrzemięźliwości między Indianami, ale dodaje, że dopóki Anglik: „biały człowiek“ nie zaszedł między Omahów, nie widziała tam nigdy pijanego człowieka, nie wiedziała, co to jest pijak. Pokolenie ich było wprawdzie bardzo ubogie i pozbawione tych wszystkich wygod i korzyści, jakie daje cywilizacja, przecież na wiele większe braki, na gorszą nędzę patrzyła wśród zaułków Londynu i Edynburgu, a już Dublin zostawia tu na boku. Pijaństwo, które poniża i dziesiątkuje dziś jej naród, jest owocem zaszczepionego im przez Amerykanów nałogu. Ich handel napojami wyskokowymi zatruwa lud, nieznający skutków truciizny, którą mu podsuwają. Ale—kończy—wydanem zostało obecnie prawo, że każdy krajowiec schwytany na zbliżeniu się do angielskiego przekupnia, podlegnie karze publicznego oświecenia, przecież kobiety pokolenia Omaha użyją innego środka. „Będą zaklinać nieszczęśliwych na prochy przodków, a nieposłusznych będą przez to prochy—przez cienie ojcowskie przeklinać.“

— *Historia Ogrodu Saskiego* ma się wkrótce ukazać w druku, opracowana przez trzech młodych dziennikarzy na podstawie akt miejskich. Rzecz będzie niewątpliwie poczytną, bo miłą publiczności.

— *Ogród zoologiczny* nabywa od obecnego właściciela za sumę 110,000 rs. spółka komandytowa, co wróży zwierzyńcowi tamtejszemu pomyślną przyszłość a przyjaciele dzieci warszawskich radość powinni nadzieją, że niefortunne zabawy, jakoby ku uciesze owej młodzieży tam urządzane, pójdą może torem innym. Mają być one otwarte wraz z rozpoczęciem się wakacji i według higieniczno-pedagogicznego planu pomyślane, co każe przypuszczać, że nikt tam dzieci bawić, ani nadzieją zabawy przyciągać nie będzie, tylko dzieciom tem zostanie danem miejsce, gdzieby się według odpowiednich warunków wesoło i z korzyścią dla ich rozwoju fizycznego bawić mogły, tak jak to ma miejsce we wszystkich większych miastach Europy. Pedagogowie warszawscy powinni o to zabiegać.

— *Konkurs „Echa Muzycznego“* na sztukę ludową zamknął się z d. 15 b. m. Nadesłano 25 utworów.

— *O pustynnikach* przybyły jeszcze nowe wieści. Widziano liczne ich stada w okolicach Sandomierza, Opatowa, Klimontowa. Podobne do kuropatwy, różnią się tylko kolorem upierzenia i nóżkami. W okolicach Opatowa stado przelatujące koło drutu telegraficznego uderzyło o niego i kilka sztuk padło zabitych.

— *Współka owocowa* przyszła nareszcie do szczęśliwego skutku pod tytułem: *Warszawskie stowarzyszenie sprzedaży owoców*. Głównie pośrednicząca będzie między producentami a większymi nabywcami, kupując owoce po cenach targowych i odracając tylko bardzo mały procent na rzecz spółki. Producenci chcący wejść w stosunki ze spółką, muszą nieodzownie czynić zadość warunkom: dobrego zbioru, opakowania i przesyłki owoców. Wskazówki, mieszczące się w drukowanej instrukcji będą bezpłatnie przesyłane na żądanie.

— *Sulamitka*, nowe dzieło Rubinsteina z tekstem Juliusza Rodenberga wierszem, wystawione w Berlińskim teatrze opery d. 4 Maja, ma być wysoko poetycznego nastroju, środkuje ono między operą a oratorym.

— *Paryżka wystawa* doroczna mieści 5,523 okazów a to: 2,586 obrazów, 1,059 rzeźb, 1,119 akwareli, pastelów i rysunków kredką, 522 sztychów i drzeworytów, 57 medalionów i gemmów, 180 planów architektonicznych.

— *Emin Basza* dał o sobie wiedzieć pod datą 2 Listopada zeszł. roku, jest nadesłany list z Kibero, miejscowości położonej na wschodnim wybrzeżu jeziora Albert-Nyanza. Chcąc otrzymać jakieś wiadomości o Stanleyu, odbył on w tych czasach daleko w tamte okolice posuniętą wyprawę, która przecież pozostała bezowocną. Sam Emin-Basza znajduje się w dobrym stanie zdrowia, stosunki jego z krajowcami i ich władcami są zadawalniające. Zamierzał on przed powrotem swoim do Wadala zrobić jeszcze parcowcem wycieczkę na zachodnie wybrzeża jeziora. Pisząc to, spodziewał się, że Stanley da mu znać o sobie około Nowego Roku.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 5-ty powieści pod tytułem: *Wybór Aliny*, przez Mrs. Alexander.

TREŚĆ: Zapomnij! Pamiętaj! poezja, przez Maryą Ilnicką. — Nowożytna Saga, przez M. I. — Na starym gruncie, powieść, (dalszy ciąg), przez M. Febroniusza. — Życie i praca, (dalszy ciąg), przez Samuela Smilesa. — Korrespondencya zagraniczna, Poznań. — Podróże naukowe (dokończenie). — Z działy przyrody, przez J. S. — Kronika działalności kobiecej. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 5-ty powieści pod tytułem: *Wybór Aliny*, przez Mrs. Alexander. — 20 wzorów umorów i robót z opisem. — Se-

Warszawa.—Druk i Litografia S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Дозволено Цензурою.—Варшава, 11 Мая 1888 года.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.